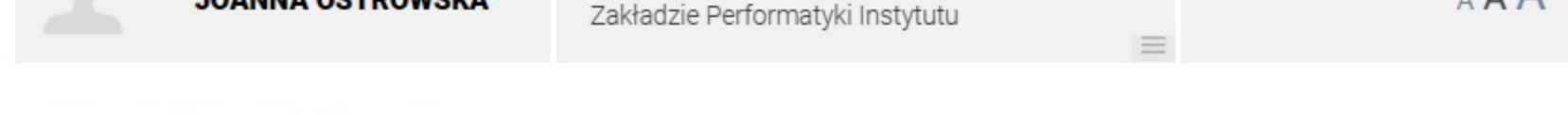


## Na obrotowce dziejów

Patron, reż. Lukasz Gajdzis, Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie



JOANNA OSTROWSKA

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

A A A



Fot. David Stube

**70. lecie istnienia sceny Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie postanowił uczcić odmiennie niż wcześniejsze jubileusze – nie wystawieniem którejs z komedii patrona, ale opowieścią o nim samym – postaci tak bardzo jak tylko można osobnej w polskiej literaturze. Lecz jeśli ktoś spodziewałby się po tym przedstawieniu biograficznego panegiryku, mógłby się srodeż zawieść. Patron Marii Spiss w reżyserii Lukasz Gajdzisa to spektakl wykorzystujący postać Fredry do zobrazowania pewnego, jak zdaje się to wynikać z wymowy przedstawienia, nieodłącznego rysu polskości – hejtu, jaki spotyka wszystkie tych, którzy nie mieszczą się w hurramantycznym modelu patriotyzmu.**

Fredro z tego przedstawienia to postać z jednej strony historyczna – na scenie oglądamy okruciny prawdziwych epizodów z życia pisarza, z drugiej – bardzo dzisiejsza, a to dużo konkretniejsze określenie niż „współczesna”. Ile dookoła nas jest takich tragicznych postaci jak największy (i w sumie jedyny) polski komediopisarz? Autentycznych patriotów, którzy nie wahali się w pewnym momencie narażać swojego życia dla ojczyzny, a potem zostali zmieszani z błotem, ponieważ nie mieli się w bogoojczyźnianym, napastliwym i głośnym modelu, zakładającym, że istnieje tylko jedna słuszna forma służby Polsce? Historia, która stała się udziałem Fredry, nie różni się bardzo od wielu podobnych historii rozgrywających się dzisiaj w tym kraju. Ten rys naszej współczesności udało się w sposób bardzo celny i nienachalny uchwycić Marii Spiss.

Węście na widownię teatru w Gnieźnie przypomina tym razem raczej rozsadzanie widzów na jakimś offowym przedstawieniu. Główne drzwi są zamknięte, jesteśmy wprowadzani w mniejszych grupach przez wejścia przy ostatnich rzędach widowni. Frontowa część foteli jest wymontowana, w ich miejscu na poziomie sceny znajduje się platforma, na której na praktykach ustawione są amfiteatralnie krzesła. Zmniejsza to ilość miejsc, ale, jak się za moment okaże, ma swój dobrze uzasadniony sens. Początkowe chwile przedstawienia przypominały mi spektakl, którym debiutował w Gnieźnie duet Nowak-Gajdzis. Patron to pożegnanie wicedyrektora z tutejszą sceną. Świadomie czy nie, ale połączył koniec z początkiem dymną kordą. Ponieważ pierwsze, co można poczuć bardziej niż zobaczyć, to dym idący ku widowni ze sceny, na której na razie nic się nie dzieje. Przez wąską szczelinę między dwoma płaszczyznami przesącza się światło, dzięki któremu dym tworzy bardzo tajemniczą, nieco groźną i chciałoby się rzec romantyczną atmosferę. To sięgnięcie po tradycyjnie kojarzone z romantycznym imaginariem chwytu znajduje potwierdzenie w pojawieniu się w przejściu z lewej strony widowni zakapturzonych postaci niosących świece. A kiedy jeszcze gdzieś z offu rozlegną się słowa *Akropolis* Wyspiańskiego wypowiediane przez Mariusza Benoit, mamy romantyczność w pełnym rozkwicie.

Tu muszę sobie pozwolić na pewną dygresję: oglądając premiery z ostatnich miesięcy, mam wrażenie *déjà vu*. Ponieważ to samo wrażenie mam, obserwując rzeczywistość, w zasadzie wszystko powinno mi się zgadzać, tyle tylko, że wydawało mi się, iż lata 80. ubiegłego wieku minęły bezpowrotnie. A tu taka niespodzianka (niekoniecznie miła, przynajmniej w odniesieniu do rzeczywistości). Te pierwsze chwile gnieźnieńskiego przedstawienia przywołują na myśl to, jak pokazywano romantyczny *entourage* w tamtych czasach, ale jest w tym też coś więcej. Znow teatr, posługując się językiem aluzji i historycznym kostiumem, punktuje naszą rzeczywistość – pokazując wtedy, mówi nam o teraz. Zdziwiała mnie łatwość, z jaką twórcy weszli w buty, które – jak się wydawało – powinny już dawno gnść na śmietniku historii. Natomiast podobna łatwość, z jaką ludzie w instytucjach państwowych też wchodzą w buty sztywne wedle wzorów z lat 80., a nawet wcześniejszych, już mnie przeraża.

Patron w tym romantycznym klimacie pojawia się niczym Komandor, wprawdzie pod postacią pomnika, takiego samego, jak ten, który stoi na dziedzińcu przed teatrem. Ta postać z betonu wykluwa z siebie człowieka, który nagi i delikatny w zderzeniu z szarą bryłą umyka w stronę, w którą odeszły zakapturzone postacie. Wtedy zdarza się coś, czego widzowie w teatrze raczej się nie spodziewają: podłoga pod naszymi stopami drga i cała widownia zaczyna obracać się w lewo, tak że towarzyszy przemieszczaniu się Fredry (gościnnie Marian Jaskulski). Na spotkanie wychodzą mu jednak nie mnisi, tylko postacie wyglądające jak niedobitki żołnierzy – ni to napoleońskich, ni to z powstania styczniowego (a Andrzej Malicki wygląda całkiem jak Ludwik Solski – Stary Wiarus z rysunku Wyspiańskiego). Jest wśród nich jedna postać zdecydowanie odbiegająca wyglądem: w wysokich oficerkach założonych na bosa nogi, co wiemy dzięki temu, że zamiast spodni ma krótką różową baletową spódnicę, uzupełnioną tiulową, niedopinającą się na masywnym ciele bluzeczką. Tak odziana postać mężczyzny (Wojciech Siedlecki) zaczyna tekstem Fredrowskiego *Dożywocia* opowiadać o szaleństwach ubiegłej nocy. To zderzenie ujawnia dwa wątki, wokół których rozwijać się będzie *Patron*. Ten drugi, prowadzony równoległe, choć mniej intensywnie niż ten opowiadający o bolesnych zderzeniach z polskimi „prawdziwymi patriotami”, dotyka kwestii już nie ogólnej natury, a raczej dość branżowego pytania: „jak obecnie grać Fredrę?”. I gdyby przedstawienie Spiss i Gajdzisa ograniczyło się tylko do tego gościnnego wątku, moglibyśmy mieć do czynienia ze spektaklem aktualnym i intelektualnie celnym. Niestety sposób, w jaki poprowadzono ten drugi z wątków, podważył część tez – śmiałych i przenikliwych – z wątku pierwszego. Przedstawienie bowiem nie ma spójnej i zwartej struktury – działa raczej na zasadzie myślościwieni z powieści J.K. Rowling. Poszczególne sceny, epizody wywołujące są przed nami jak wspomnienia, myśli, które trzeba uporządkować, przemyśleć na nowo, by stworzyć z nich prawdziwy obraz zdarzeń, ponownie przyjrzeć się temu, co mogło w zwykłym ich „przeżyciu” zostać przegapione. Dlatego poszczególne sceny oddzielone są perspektywą kilku-kilkunastu lat, a odegrane sceny z komedii Fredrowskich wyglądają jak wspomnienia zebrane od kogoś zupełnie innego, które przez przypadek zaplątały się między te właściwe. Może fiołki ze wspomnieniami źle opisano?

„Nazwiska polskie nie są tym samym, co charaktery polskie; kilka osób, kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowej na wiersze czterech tomów; paszety przysłów, bez związku z charakterami i z całością dzieła, jest tylko słownikiem przysłów; miłosna strona narodu jest to rys kosmopolityczny – a to jest właśnie wszystko, co ma stanowić polskość komedii Fredra, ale cnoty, wady śmieszności, charaktery pojedyncze, fizjonomia ogólna, zgola cokolwiek tworzy pomniki prawdziwie narodowej indywidualności, tego na próżno byś tam szukał”. Takimi słowami zaatakował w 1835 roku Fredr Seweryn Goszczyński. To on (w tej roli znakomity Wojciech Kalinowski) wyrasta na drugą główną postać. Osią tego pierwszego, o wiele ciekawszego wątku jest – mówiąc dzisiejszym językiem – hejt, jakiego doświadczył Fredro ze strony tego superromantycznego twórcy. Scena w teatrze, po premierze spektaklu Fredry, kiedy on, cały szczęśliwy, zderza się z trójką poetów, okazuje, że był to hejt zaplanowany, a „szuczunia” z góry przygotowała swoje wystąpienia przeciw komediopisarzowi. Choć ta scena, kiedy Goszczyński, Pol (Bogdan Ferenc) i Dembowski (Leszek Wojtaszek) po kolei niby to po przyjacielu zarzucają Fredrze przewiny wobec romantycznego (i jedynego słusznego) sposobu pisania (Goszczyński machający egzemplarzem swojego *Zamku kaniowskiego* i powtarzający: „Wszystko tu jest”), ma charakter lekki komediowy, to później otrzymujemy jej spointowanie, które jest już groźne i przerażające. Aktorzy Teatru im. Fredry, będąc poza swoimi postaciami ze spektaklu, stojąc na scenie (czyli przestrzeni, która w świecie przedstawionym reprezentuje teatr) patrząc w naszą – widzów – stronę wyrzucają zdania prawdziwego hejtu, który spotkał gnieźnieński zespół po sprawie warsztatów teatralnych i dziewcząt, które już po ich zakończeniu, ale jeszcze nierozkarakteryzowane, weszły do kościoła (krótko po tamtym wydarzeniu pierwszy raz zdarzyło mi się przyjechać na spektakl do teatru ochranianego przez policjane radiowozy, tak konkretne były to groźby).

Porządek przedstawiania autentycznej biografii Fredry uzupełniony jest przez sceny rodzinne dziejące się między fotelami widowni. Tam córka poety recytuje *Pawła i Gawła* w śląskiej gwarze, tam żona Zofia (gościnnie Agnieszka Duleba-Kasza) miota się wściekła, że Aleksander, mimo całego wyrządzonego zła, nadal chce rozmawiać z Goszczyńskim, tam Zofia zmeżczona nienawiścią otaczającą ich rodzinę postanawia wyjechać z domu. Ten wątek poety zaszczutego przez innych, czujących, że mają monopol na polskość, jest przez swoją wyrazistość i siłę wartościową tego przedstawienia. Scena, w której – znow w teatrze – Fredro-Jaskulski krzyczy, że po tym ataku zamilkł na piętnaście lat, ma autentyczną siłę. Potencjalnie komediową siłę ma za to scena, w której Fredro udaje się do Canossy, czyli do Paryża, do Mickiewicza. Mickiewicz (Paweł Dobek) siedzi w jednej z łóż na balkonie i je, pożera, zażera się mięsiami, w czasie kiedy biedny Fredro stoi na parterze i z dołu dopomina się uwagi. Ta scena ma wymiar iście Gombrowiczowski, kiedy komediopisarz relacjonuje nam swoje spotkanie z arcypoetą, podczas którego próbuje udowodnić mu, że potrafi pisać w manierze romantycznej, ale nie może się wczuć w swoją rolę do końca, ponieważ w skupieniu się przeskadza mu skórka od szynki, która przykleiła się do wargi Mickiewicza. Jednak przerysowanie tej sceny zabija jej walor komediowy i prowadzi ją w stronę kabaretu. Mickiewicz jest karykaturalnie żarłoczny, a w rolę subtelnej skórki, o której mowa, w obrazie wciela się związający z ust płat szynki westfalskiej.

Taka karykaturalność obrazowania jest natomiast głównym środkiem w pokazywaniu w ramach spektaklu Gajdzisa utworów samego Fredry, szczególnie *Męza i żony* oraz *Ślubów paniejskich*. Nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego reżyser zdecydował się w ten sposób poprowadzić wątek prezentujący komedie patrona, tym bardziej, że w efekcie potwierdza fatalne zdanie Goszczyńskiego o komediopisarzu. Sceny Fredrowskie pojawiają się w dwóch wariantach: „na nowocześnie” i „na dziewiętnasty wiek” i oba zdają się ilustrować opinię Goszczyńskiego – Fredro to kiepski pisarz, ponieważ w obu wersjach jego wiersze bardzo źle brzmią, szczególnie jeśli zestawimy je ze znakomicie podanym na początku *Akropolis*. Wariant „na dawno” ma być chyba kpina z „tradycyjnych” wystawień Fredry, ale tak jego komedii nie gra się chyba od co najmniej kilkudziesięciu lat – mówiąc z przydechem, wykonując sztuczne i przerysowane gesty. Wcale nie lepiej wypada ten „nowoczesny” wariant, kiedy wiersz jest rwany przyspieszonym oddechem, spowodowanym pokazanym bardzo dosłownie poddaniem się magnetyzmowi ciała. Oczywiście, że Fredro pruderyjny nie był i najsłabsze współczesne wystawienie jego dramatu już ten aspekt twórczości zademonstrowało na scenie, ale brakowało mi w *Patronie* choćby próby ocalenia jego komedii dla współczesnych widzów – pokazania, że jego fraza dobrze podana nadal brzmi ciekawie, że da się jej słuchać z przyjemnością. Bo tu jednak – inaczej niż twierdzi reżyser w programie – nie patron (choć Gajdzis gra tu dwuznacznością francuskiego słowa *le patron*) ma ostatnie słowo, a właśnie inscenizator. Może warto by jednak trochę docenić tego Fredrę, skoro to nadal, po prawie dwóch wiekach, jedyny komediopisarz z prawdziwego zdarzenia, jakiego w Polsce mamy?

Co jakiś czas w ciągu całego spektaklu dookoła obrotówki, na której siedzą widzowie, przechadza się pochodź dziwnych postaci. To one zaznaczają upływ czasu – najpierw są resztkami wspaniałej armii cesarza Francuzów, potem ich mundury się zmieniają, a w ostatnim wyjściu są grupą, sądząc z flagi na koszulkach i walizkach, jakie ze sobą mają, udającą się do Wielkiej Brytanii. Kolejna Wielka Emigracja, którą wyrzucza z Polski wcale nie najędźża, tylko Powielki Polscy Patriotci? Nie emigranci ekonomiczni, tylko uchodźcy przed hejtem? To ciekawa diagnoza postawiona na zakończenie tego interesującego, choć nieco nieuporządkowanego spektaklu, który chcąc powiedzieć bardzo dużo, chwilami zapęta swoją narrację ponad miarę. Może stało się tak dlatego, że jest to koniec pewnego etapu pracy Lukasz Gajdzisa w Gnieźnie i na pożegnanie chciał powiedzieć bardzo dużo? Nie wiem. Spektakl, jaki stworzył wspólnie z Marią Spiss i aktorami, jest z całą pewnością mądrą wypowiedzią o naszym teraz, pokazaną przez pryzmat tytułowej postaci. Lecz ten spektakl trochę wyglądał tak, jakby frustracja i złość, jakie stały się udziałem Fredry, zaważadnęły także rzeczywistość przedstawioną, a w takim wypadku trudno o wyważone, racjonalne narracje. Może jednak oddanie tego chaosu dziejów, którego kolowrotka można doświadczyć w gnieźnieńskim teatrze, też jest cenną wartością? Pozostaje po tym spektaklu jednak wrażenie czegoś nie do końca wypowiedzianego (jakby wbrew ostatniemu zdaniu, jakie pada ze sceny), co gdzieś celnie dotyka naszej współczesności, a równocześnie tragicznej uniwersalności polskiego losu.

Jak już napisałam, Lukasz Gajdzis tym spektaklem żegna się z gnieźnieńską sceną. Należą mu się podziękowania za to, że wspólnie z dyrektorem Nowak wyprowadzili ten teatr w zupełnie nowe i nieznanne mu wcześniejsze rejony i pozwolili, by stał się miejscem prawdziwej sztuki teatru, a nie przysłowiowym „teatrem w mieście na G”. Panie Lukasz: *Bonne chance!*

9-11-2016

### G A L E R I A Z D J E Ń

#### PATRON, REŻ. ŁUKASZ GAJDZIS, TEATR IM. ALEKSANDRA FREDRY W GNIEŹNIE



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie  
Maria Spiss  
**Patron**  
dramaturgia: Maria Spiss  
reżyseria: Lukasz Gajdzis  
scenografia: Justyna Łagowska  
współautor scenografii: Katarzyna Jeznach  
muzyka: Lukasz Maciej Szymborski  
ruch sceniczny: Aneta Jankowska i Urszula Perol  
obsada: Agnieszka Duleba-Kasza (gościnnie), Katarzyna Jaskulowska, Michałina Rodak, Martyna Rozwadowska, Iwona Sapa, Paweł Dobek, Bogdan Ferenc, Maciej Hązła, Marian Jaskulski (gościnnie), Wojciech Kalinowski, Andrzej Malicki, Wojciech Siedlecki, Leszek Wojtaszek i in.  
premieriera: 28.10.2016

TAGI: [Lukasz Gajdzis](#), [Maria Spiss](#), [Gniezno](#), [Teatr im. Aleksandra Fredry](#)



### S K O M E N T U J

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

**Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem**, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę:



### K O M E N T A R Z E ( 0 )